

O *Kalifornijskim kadiszu* Henryka Grynberga

Kadisz to sławiąca wielkość Boga modlitwa za zmarłych i w imieniu zmarłych. Jak pisze we wstępie do swej książki autor, jej odmawianie jest obowiązkiem najbliższej rodziny, zwłaszcza syna, którego tradycyjnie uważano za duchowego spadkobiercę rodowej tradycji.

Wydany w roku 2005, choć chronologicznie młodszy od rok wcześniej opublikowanych *Uchodźców*, *Kalifornijski kadisz* jest taką modlitwą. A właściwie kontynuacją wieloletniej i wielostopniowej modlitwy autora – syna, za wymordowany Naród, za członków jego rodziny i wreszcie za umierającą matkę. To modlitwa za nich wszystkich jednocześnie i za każdego z osobna. Henryk Grynberg w kolejnych swych książkach przywołuje z ciemności niepamięci historię przodków. I wygląda na to, że nie tylko dlatego, że tak postanowił i uczynił z tego postanowienia dzieło życia, ale także dlatego, że inaczej nie może. Jest we własnym przekonaniu jednym z nielicznych, którzy mają dostęp „do źródeł” informacji o zapominanym świecie. Ma obowiązek spisać relacje. Musi je spisać, dla zachowania i ocalenia swojej tożsamości, a przede wszystkim w imieniu tych, którzy odeszli i opowiedzieć o sobie nie mogą. Jak czytamy w omawianej książce:

„Przy każdej okazji wyciągałem z niej [matki – dopisek M.W-W.] wspomnienia – moje dziedzictwo, spadek, który łatwo mi mógł przepaść, bez którego nie zostawało mi nic”¹.

Kalifornijski kadisz jest także kolejnym ogniwem odwiecznej, tej samej opowieści Grynberga. A więc, tak jak w poprzednich utworach, spotykamy tu bliskich nam już bohaterów, strzępy historii opowiedzianych wcześniej (znana z *Uchodźców* relacja tragicznej śmierci ojczyzna narratora/autora(?) – zamordowanego właściciela kalifornijskiego *liquor-storu* – czy przywołane losy matki cudem uratowanej z warszawskiego getta). Tym razem jednak punkt

¹ H. Grynberg, *Kalifornijski kadisz*, Warszawa 2005, s. 32.

ciężkości przesuwają się w stronę intymnej relacji syna towarzyszącego umierającej na raka matce. Optyka *Kalifornijskiego kadisza* prowadzi od szczegółu do ogółu, a w obserwacji najważniejszy jest detal przeżyć i relacji dwuosobowych. Przyglądamy się z osobna trudnym stosunkom narratora z bratem, z osobna powierzchowności kontaktów z nowym ojczymem, i jeszcze innym okiem dialogowi syna i matki, ich bliskości w obliczu „ostatecznego”. W szerszym kadrze opowiadania pozostaje jednak, tak jak to bywało u Grynberga dotychczas, wymiar historyczny. Śmierć matki będzie, bowiem także zerwaniem ostatniego „żywego wiązania” z tamtym światem, światem, który był naprawdę Ich.

Na początku uderza nas przede wszystkim właśnie przerażenie kronikarza z powodu odchodzenia ostatnich z ostatnich. Tych, którzy jeszcze pamiętają „tamten świat” i mogliby dać o nim świadectwo. Potem z narastającą intensywnością dociera do nas wpisany w wielką historię i z niej się wyłaniający ten drugi wymiar, kameralny. Jesteśmy świadkami (to ważne, bo narracja stawia nas gdzieś blisko bohaterów, na wyciągnięcie ręki) wstrząsającego procesu odchodzenia człowieka. Związane z nim cierpienie bliskich to doświadczenie znane i wspólne wszystkim ludziom. Tu jednak najtrudniejsze dla dziecka przeżycie śmierci matki zostaje jeszcze spotęgowane poczuciem, że Ta akurat nie powinna umierać. Że „taki wyrok bez odwołania nie należy się komuś, kto tyle razy przedtem musiał umierać”². I choć tragedia śmierci bliskiej osoby wydaje się zawsze równa dla wszystkich, czytając te słowa, mamy rzeczywiście poczucie, że autorskie stopniowanie śmierci jako mniej czy bardziej sprawiedliwej jest uprawnione. Nie możemy jednocześnie opędzić się od dotkliwego wrażenia, że to myślenie nie całkiem uzasadnione. Przecież właśnie śmierć równa ludzi w prawach. Czeka wszystkich i w tym tkwi być może sprawiedliwość świata. A jednak przyjmujemy argumentację narratora. Istotnie, po absurdzie drugiej wojny, abstrakcyjności niedającego się objąć umysłem

² Ibidem, s. 40.

tragicznego losu Żydów absorbujemy nierealne przecież przekonanie, że Im już **nigdy** nic złego nie powinno się przytrafić. Jesteśmy stale przez autora umiejętnie angażowani do dyskusji z samymi sobą.

Także połączenie w *Kalifornijskim kadiszu* perspektywy historycznej, uniwersalnej z prywatną, subtelnie usnutą materią osobistych przeżyć zostało dokonane w sposób przejmujący. To bolesna lektura. Jak wszystko, co dotychczas oddał nam do rąk Grynberg. Jednak jeśli się ją podejmie, trudno się wycofać. Jakaś fatalna konieczność nakazuje nam podążać za autorem wytyczoną przezeń drogą w stronę prawd o człowieku, choćby nawet miały być trudne do zniesienia. I zanurzamy się w tym nurcie, mając świadomość tego, jak trudno będzie się z niego wydobyć.

Autor we wstępie odżegnuje się od utożsamiania postaci książki z autentycznymi osobami, a narratora z autorem. Znając jednak jego poprzednie publikacje, trudno się oprzeć chęci właśnie takiego skonkretyzowania bohaterów. Warto być może zadać sobie pytanie, skąd taka prośba odautorska. Czy dlatego, że jego historia istnieje w milionach podobnych „egzemplarzy”, a zatem ta jedna jest raczej emanacją losów całego pokolenia niż konkretną historią jednej rodziny? Mamy o tym pamiętać? A może też są rzeczy tak ważne, że wypowiedzieć ich nie sposób, dopóki na czas jakiś nie opuści się mentalnie własnego ja? Jakkolwiek jest, całkowicie respektując postulat autora z jednej strony, dobrze przy tym pamiętać, że w tle mamy jednak także do czynienia z nader delikatną tkanką doświadczeń autobiograficznych.

Drugą część tomu stanowi *Dziedzictwo*. Jest to opowieść, „której narrator odnajduje po wielu latach kości swojego zamordowanego ojca, ażeby go należycie pochować”³. Choć we wstępie do całości autor uzasadnia połączenie obu tekstów w jednej publikacji ich pokrewieństwem – oba są swego rodzaju literacką

³ Ibidem, *Od Autora*, s. 5. Pierwodruk *Dziedzictwa* miał miejsce [w:] „Regiony” 1993, z. 2, s. 2–54. *Dziedzictwo* to scenariusz-relacja z rozmów Henryka Grynberga z mieszkańcami wiosek i miasteczek, w których autor *Zwycięstwa* ukrywał się w czasie wojny. Dialogi obecne w *Dziedzictwie* oparte zostały na zapisie sporządzonym na wschodnim Mazowszu w lutym 1992 roku. Na tej właśnie podstawie Paweł Łoziński nakręcił wówczas film dokumentalny pod tytułem *Miejsce urodzenia*.

modlitwą za zmarłych rodziców, decyzja o ich umieszczeniu w tym samym zbiorze wydaje się nieudanym rozwiązaniem autorskim. Po przeczytaniu *Kalifornijskiego kadisza* chciałoby się tylko ciszy. Potrzebny jest czas na ułożenie się z tą historią. Trudno wyobrazić sobie odwrócenie strony i natychmiastowe przeniesienie się w świat nowego przeżycia. Zwłaszcza, że będzie ono równie intensywne emocjonalnie jak to pierwsze. Nie doradzałabym sugerowanej wspólnym wydaniem, nieprzerwanej lektury obu części tego tomu. Trzeba raczej tę książkę odłożyć na półkę i wrócić do niej za czas jakiś, za czas dłuższy.